

Obraz życia i pracy „wykluczonych” *Ludzie bezdomni* Stefana Żeromskiego

Tytuł powieści Żeromskiego ma znaczenie historyczne i odnosi się zarówno do **dosłownego, jak i metaforycznego znaczenia** bezdomności.

Człowiekiem bezdomnym jest główny bohater powieści. **Doktor Judym** nie ma i właściwie nigdy nie miał własnego miejsca na ziemi. Jako małe dziecko został przygarnięty przez ciotkę, ale jej mieszkanie nie było dla niego domem. Traktowany jak sługa, nie czuł się tam dobrze ani bezpiecznie. Od tamtej pory wielokrotnie zmieniał miejsce zamieszkania, studiował za granicą, wrócił do Warszawy, objął posadę w Cisach, a później w Zagłębiu. Wszędzie wynajmował mieszkania, wszędzie był tylko gościem.

Bezdomność Judyma to jednak przede wszystkim **poczucie osamotnienia i wyalienowania**. Bohater czuje się bowiem obcym w każdym środowisku. Wywodzący się z rodziny robotniczej, nie ma szlacheckiego rodowodu, nie należy więc do wyższych warstw społecznych. Ludzie, z którymi przestaje, traktują go z wyższością. Już podczas pierwszego spotkania w Paryżu pani Niewadzka dopytuje o jego rodowód i zawiedziona słyszy, że doktor pochodzi z „bardzo byle jakich Judymów”. Jednocześnie Tomasz Judym nie należy już do klasy robotniczej. Wykształcenie uczyniło zeń innego człowieka. W swojej dawnej dzielnicy czuje się obco, nie potrafi porozumieć się ze swoim bratem, który musi zarabiać na życie ciężką i niebezpieczną pracą. Jego krewni żyją w ciężkich warunkach, każdego dnia walcząc o przetrwanie.

Podobny los jest udziałem **panny Podborskiej**. Joasia także nie ma domu. Nie ma też rodziny i choć wywodzi się ze szlachty, funkcja guwernantki stawia ją na niższym szczeblu hierarchii społecznej. Uzależniona od pracodawców, marzy o własnym domu i rodzinie, miejscu, gdzie czułaby się bezpieczna i kochana.

Bezdomność dotyka też **Wiktora Judyma i jego rodzinę**. Zmuszeni poszukiwać zarobku zagranicą, z bólem opuszczają swoje mizerne mieszkanie w Warszawie. Dla nich, biednych robotników nie mających oszczędności i nie znających języka, wyjazd za granicę, gdzie nie nikogo nie znają, to wielkie ryzyko. Ledwo Wiktor znalazł pracę i mieszkanie, sprowadził do siebie żonę, niefortunna zabawa dzieci budzi gniew właściciela i zmusza ich do ponownej przeprowadzki. Nie wiadomo, gdzie tym razem rzuci ich los. Wiktor myśli nawet o Ameryce.

Powyższe przykłady odnoszą się do osamotnienia społecznego. **Na kartach powieści nie brakuje też przykładów tej dosłownej bezdomności, jaka stała się udziałem biedoty**. Widzimy rzesze ludzi pozbawionych dachu nad głową lub żyjących w uwłaczających warunkach, najbiedniejsze dzielnice miasta zamieszkałe są przez robotników stłoczonych w ciasnych i ciemnych izbach.

Bezdomność w znaczeniu metaforycznym, rozumiana jako **wyrzeczenie się szczęścia rodzinnego**, jest w przekonaniu Judyma warunkiem całkowitego oddania się idei.

(...) Bezdomnym musi być każdy człowiek owładnięty jakąś altruistyczną ideą. Dlaczego? Bo największym wrogiem altruizmu i poświęcenia jest wrodzona człowiekowi potrzeba szczęścia osobistego, własnego gniazda, „domu, którego umiłowanie działa z konieczności paralizująco na rozwój uczuć antyegoistycznych” – pisał Ignacy Matuszewski. Tak właśnie swoją misję pojmuje Judym, pragnąc odpracować zaciągnięty u świata dług, decyduje się na

dramatyczny krok – zerwanie z Joasią. Była ona jego szansą na pokonanie duchowej bezdomności. Bohater świadomie rezygnuje z osobistego szczęścia, obawiając się, że oderwałoby go ono od realizowania heroicznych planów.

Bezdomność można też odnieść do braku ojczyzny. Akcja powieści toczy się w porozbiorowej Polsce, w tym sensie bezdomni są wszyscy Polacy. Na takie odczytanie znaczenia tytułu wskazuje m.in. przytoczenie przez Korzeckiego fragmentu wiersza Słowackiego: „(...) Żem prawie nie znał rodzinnego domu,/ Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi/ Przy blaskach gromu”.

Wreszcie tytuł książki można również interpretować w kontekście egzystencjalnym. Bezdomność to bowiem **stan ducha, wewnętrzna niezgoda na rzeczywistość**. Przykładem człowieka skłóconego ze rzeczywistością jest **Korzecki**. Bohater nie potrafi pogodzić się ze złem panującym na świecie. Każdego dnia, obcując z okrucieństwem i cierpieniem, traci wiarę w sens życia. Poczucie osamotnienia, niezrozumienie i zniechęcenie popychają go do samobójstwa.

Dom to magiczne miejsce, do którego pragnie się wracać, to miejsce bezpieczne i przyjazne, które dzieli się z kochanymi ludźmi. Bezdomność to – przeciwnie – stan niepewności, samotności, odrzucenia. Poczucie, że nie ma się własnego miejsca na świecie ani solidnych podstaw, na których można by oprzeć swoje życie.

Temat . Fabryki, huty, kopalnie w oczach Stefana Żeromskiego – nowoczesność i postęp czy piekło dla pracujących tam ludzi? Odpowiedz na pytanie, analizując załączone fragmenty *Ludzi bezdomnych* oraz wykorzystując znajomość całości powieści. Zwróć szczególną uwagę na opisy maszyn i pracujących robotników.

Rano przed ósmą Judym zdążył piechotą na dworzec kolejowy. Był to jeden z pierwszych dni września. Jeszcze słońce pieściło się z ziemią i posępne, czarne domy obłoczyły na się szaty jego świetliste. [...]

Na dworcu spotkał już kilka osób, które go uchyleniem kapelusza witały. To jeszcze bardziej odbierało mu pewność siebie.

W dali rozległ się sygnał zwiastujący pociąg i wkrótce, jak barwne dzwona węża, długie ciało zaczęło się przeginać w zwrotnicach. W jednym z okien doktor zobaczył Joasię. Była ubrana w skromny kapelusik podróżny. Miała szarą suknię. [...]

Szli szeroką ulicą, po bruku uwalanym w błocie, mówiąc o rzeczach obojętnych. Panna Joasia zmuszona była dbać o swą suknię.

Kiedy niekiedy podnosiła oczy pełne blasku i wówczas odrobina żalu za tak sztywne przyjęcie ukazywała się na jej czystej twarzy.

Judym dostrzegł i to także.

– Będzie pan łaskaw pokazać mi fabryki tutejsze? – spytała z odrobiną zalotności.

– Z wielką chęcią... Właśnie idziemy... [...]

Weszli w podwórze fabryczne.

Otoczyła ich puszcza machin i warsztatów.

Tu hale otwarte, w których wiły się złote węże drutu, gdzie indziej zionęły ogniem jamy pieców martenowskich, dalej jęczały młoty parowe bijące w belki białej stali.

Kupy węgla, szmelcu, stopy szyn [...] zagradzały im drogę. Judym miał już wyrobione pozwolenie zwiedzenia wszystkich robót, a nawet delegowanego specjalistę technika, który miał go, wraz z „kuzynką”, oprowadzić. Technik nawinął się wkrótce, bardziej zapewne usposobiony do oprowadzania „kuzynki”, choćby też w towarzystwie lekarza, niż do ślęczenia nad jakimś rysunkiem w kantorze.

Poszli tedy we troje. [...] Weszli po schodach na wielki piec.

Widzieli kaskadę ochładzającą mur rozpalony, trąbę, która prowadzi do jego wnętrza upalne powietrze i która zdaje się oddychać jak aorta.

Joasia nie mogła się dosyć napatrzeć cienkiej smudze szlaku tryskającej jak krew z górnego otworu. Właśnie przy nich przebito piec i ognista rzeka wylała się na ziemię. Cudne iskry strzelały z tego złotego strumienia. Fale jego posłusznie płynęły do łożysk swoich, które im długimi drągami otwierali czarni ludzie w siatkach na twarzy. Łuna stała jeszcze nad tą sadzawką ognistą, gdy ją opuścić musieli dążąc gdzie indziej.

Wprowadzono ich do sali maszyn pompujących gorący wicher. Olbrzymie koła o kilkunastu metrach średnicy, do połowy zanurzone w ziemię, toczyły się w swych miejscach bez szelestu, w jakimś milczeniu i chwale. W cylindrach, błyszczących jak lustra, coś nieustannie cmokało, jakby wielka gęba niechlujnego potwora chleptała napój. Z innego miejsca wyrывał się dźwięk nie istniejący.

Był to krótki, urwany śmiech szatana. Serce Joasi było strwożone. Czowała, że ten głos do niej się stosuje, że radosne marzenia o szczęściu, jej cichą miłość zobaczył. Spojrzała na Judyma szukając w jego oczach zaprzeczenia, ale ta twarz droga była martwa...

Obejrzeni piece martenowskie , które wytwarzają stal odlewaną w kubłach na belki. Te „kolby” wędrują stamtąd do walcowni, gdzie znowu w czeluść pieca wrzucone zostaną i do białości się rozpalą.

W wielkich halach wyłożonych żelaznymi płytami wszystkie wrota stały otworem. Przeciągi rwały wzdłuż i w poprzek, ochładzając czoła, plecy i ręce, które pali białe żelazo. Nie istnieją tam płuca chore, nie ma nerwów. Kto chory, ten umiera. Jak ognista kula, pędzi na ręcznym wózku przez halę biała belka. Nie widać ludzi, którzy ją dźwigają. Pada na ruszt, który się z posadzki wydobywa. Jest on jak plecy o kilkunastu metrach długości, wyginające się zupełnie wzorem kręgosłupa i niby z kręgów złożone z kół wydłużonych. Czterej olbrzymi czarni ludzie z jednej i czterej z drugiej strony walców, w siatkach na twarzy, dzierżąc w ręku długie obcęgi, ujmują belkę w swą władzę. Pchną ją mocno między szeroko rozdziawione walce dolne. Jak bryła masła stal się między nią wślizguje. Po tamtej stronie czeka na nią ruszt, który się z ziemi wysunął. Czyny ludzi są płynne, rytmiczne, prawie jak taniec. [...]

Tuż obok latają po ziemi węże stalowe.

Biały ucinek sztaby płonącej, wprowadzony w ciasny otwór, wybiega co chwila w przestrzeń, zmierzając do coraz węższych kryjówek. Tam stoją młodzi ludzie z krótkimi szczypcami, którzy chwytają pysk węża, gdy się wysuwa, i niosą go swobodnie na salę. Dopiero gdy ogon stukać zacznie po ziemi, kierują go do innej szczeliny. Druć pędzi z szaloną szybkością. Ogon, ginąc w otworze, trzepie się na prawo i lewo jak żywy...

Ogłuszający huk...

Belka stalowa spada na kowadło.

Nieruchomy młot parowy zlatuje na nią jak piorun, razem prostym niby uderzenie pięści. Zgnieciona kolba przybiera formę płaskiego kręgu. Wtedy w środek jego stawiają przyrząd, który ma wybić otwór, doskonale okrągły. Młot spada raz za razem ze wściekłą siłą. Dzwoni potężnym językiem, który odbija się w halach, w powietrzu, w ziemi... Z hukiem rozlega się lwi ryk żelaza... Stęka w nim gniew kopalni zwyciężonej przez silne ramię człowieka. Krąg z wybitym otworem jest kołem lokomotywy. [...]

Nim stanie na szynach, walczy z ujarzmicielem . Wyżera mu oczy, a twarz zalewa potem; płomieniami, którym je poddał, napętnia jego płuca i serce, na ostre przeciągi wystawione. Szarpie mu nerwy w tej samej minucie, gdy młot parowy szarpie i rozbija jego cząsteczki... [...]

Słychać było suchy szcęk żelaza o żelazo... Joasia doznała wrażenia, że to jest śpiew.

Po wielkim huku organów w jakiejś katedrze daje się słyszeć śpiew, śpiew z tłumu, bojaźliwy, strwożony... Stygnące koło poszło dalej w swą drogę.

Judym nachylił się do swej towarzyszki i zapytał:

- Czy widzi pani dobrze pracę tych ludzi?
- Widzę... – rzekła głosem zdumionym.
- Tak, tak... niech się pani dobrze im przyjrzy.

Nie mówili nic więcej ani w halach, ani na ogromnych dziedzińcach zawalonych istnymi górąmi miazgi, gruzów, piasku. Wiatr porywał i nosił z miejsca na miejsce pyły i dziwne jakieś rdze lotne.

Gdy pożegnali uprzejmego mentora , minęli wrota fabryki i gdy jej mury daleko zostały, szli za miasto.

Stefan Żeromski, *Ludzie bezdomni*, Warszawa 1956